

# ŚMIECH SPOD MASECZKI

Nie zauważyłem wśród anonsów o *odmrozeniu* działalności teatralnej – skądinąd przeważnie powściągliwych i dalekich od entuzjazmu – oferty najoczywistszej. Przyjdźcie do nas, widzowie, po pandemicznej pauzie, żeby się uśmiechnąć. Odprężyć. Odreagować lęk, *lockdown*, większe czy mniejsze posypanie się życia, perspektyw, planów. Owszem, strach nie minął, obostrzenia też nie, ale skoro pozwalają nam się spotkać, wykorzystajmy to na dodanie sobie wzajem otuchy. Nic z tych rzeczy. Sceny, które zdecydowały się na powrót do grania, zaczęły uruchamiać po prostu kolejne pozycje z repertuaru, te, które dały się wtłoczyć w sanitarne restrykcje. Co oczywiście samo w sobie musiało być ekwilibrystyką. Nikt przy tym jednak nie dopowiadał: rozmyślnie bierzemy na początek to i to, bo tam jest mocna energia, pozytywność, harmonia, radość. A właśnie to się wam, przeczolganym przez wirusa, należy.

Badanie nastrojów publiczności, przewidywanie jej potrzeb nie stoi wysoko w hierarchii cnót, jakimi winny się legitymować ambitne teatry. A już dbanie o komfort widzów, o ich przyjemność czy leczenie śmiechem w ogóle się w tej hierarchii nie mieści. Tym celom co najwyżej mogą służyć sceny, które parę lat temu próbowano upokorzyć nazwą *nieartystyczne*, jakby komuś pomylił się artyzm z zadęciem. Firmy *quasi*-komercyjne, często pełne chłamu, ale i wznoszące się niekiedy na zawodowe wyżyny. One też otwierają się nieśpiesznie, bo granie dla połowy widowni może być finansowo zabójcze.

Drażni mnie podział na teatr wysoki i niski. W praktyce recenzenckiej złościłem się na to całe życie – ze skutkiem równie donośnym, co szelest ziarenek grochu osypującego się o ścianę. Jako pacholę opublikowałem w studenckiej gazecie – ściślej przypiąłem pinezką, bo gazetka była ścienna – polemikę z Martą Fik, która, pisząc o polskiej prapremierze *Emigrantów* Mrożka, naczelnym zarzutem uczyniła powierzenie ról parze komików, co obniżało rangę tekstu. Marta, której późniejsza przyjaźń była dla mnie zaszczytem, rozbawiona czytała te tyrady, ja musiałem zmądrzeć, żeby zrozumieć sens jej recenzji i grę z cenzurą. Ale i dziś bym się kłócił, że nie było fair przedstawianie samego doboru obsady jako deprecjacji utworu. Zwłaszcza gdy grali tacy

artyści, jak Mieczysław Czechowicz i Wiesław Michnikowski.



Krystyna Janda chwilę przed pandemią wystawiła w Och-Teatrze komedię Jacka Popplewella *Lily. Obejrzałam* – napisała w programie – *wszystkie filmy ze słynną angielską aktorką Irene Handl – legendarną pierwszą Lily. Niestety nie jestem tak charakterystyczna, ani nie mam takiego doświadczenia i dorobku komediowego, jak ona. Musiałam więc pójść swoją drogą. Idealną Lily byłaby Irena Kwiatkowska, której niestety nie ma już z nami.*

Czy wiedziała, że Kwiatkowska grała kiedyś tę rolę? Właśnie tę roztrzepaną, rozplotkowaną, nieznośną i uroczą pomoc biurową, która rozwiązuje zagadkę kryminalną, brawurowo wyręczając inspektora policji? Tyle, że grała ją we francuskiej przeróbce Popplewella, którą podpisał znany dostawca lekkiego repertuaru Robert Thomas. Komedia kryminalna „Alicja prowadzi śledztwo” przeszła przez parę polskich scen i trafiła w roku 1970 do Teatru Telewizji. Bohaterka była tam co prawda telefonistką, a w wersji z Och-Teatru jest sprzątaczką. Ale kto wie, może to poprawka dzisiejszych realizatorów, skoro telefonistka to gatunek fauny biurowej doszczętnie wymarły?

Tak czy tak, telewizyjna „Alicja” jest do odszukania na YouTube. Warto tam zajrzeć. Ta niemłoda realizacja daje pewien rodzaj cudownej frajdy, niemal nieobecnej w dzisiejszym teatrze i komediowym – i poważnym też.

Fabułka „Lily” jest pretekstowa: trup z nożem w plecach, co pojawia się i znika, zdrady, zawiści, szantaże itp. banały. Istotą jest komediowy rysunek głównego duetu. Bohaterka jest dobroduszną myszką, inspektor policji – jej niegdysiejszym, fajtłapowatym kolegą z podstawówki. Ona go traktuje poufale-opiekuńczo, on pielęgnuje prestiż i ton srogiego detektywa. A z akcji wychodzi, że ona na każdym z zakrętów śledztwa jest krok przed nim. Bo coś wiedziała, tylko zapomniała powiedzieć, coś wynioskowała z plotek, gdzieś wdała się w jakąś nieważną intrygę. Te starcia wracają refrenowo i trzeba widzieć, jak rzeźbi je Kwiatkowska. Jak je za każdym razem rozwija, przekształca, różnicuje od samozachwyty do pomieszania, jak zmienia tony, grając z naszymi oczekiwaniami, jak w jej niby to naiwnym spojrzeniu migoczą iskry

sprytu i rozbawienia. Partnerujący jej Edward Dziewoński reaguje eksplozjami pasji, w których jest coraz mniej złości, coraz więcej wewnętrznego uśmiechu.

Pcham się tu w opisywanie mechanizmu gagu, na co czytelnik wzruszy ramionami; analiza dowcipu zawsze niszczy jego śmieszność. Ale chcę powiedzieć coś trochę zapomnianego: źródłem przyjemności, ukontentowania w sztuce komediowej jest zawsze konstrukcja formalna, misterna i skomponowana, jak w muzyce. Jest gra motywów (słownych, sytuacyjnych, charakterologicznych), ich odwracanie, zderzanie, przyspieszanie, opóźnianie, nieoczekiwane zakręty, igranie konwencją. Jest układanie efektów, by się piętrzyły w kosmiczny absurd. Widz nie musi wiedzieć, na jak precyzyjnym rusztowaniu to stoi. Ma się bawić, niepostrzeżenie chłonąc podprogową sugestię, że wszystko jest na swoim miejscu, przemyślane i zharmonizowane.

Tak pisali ci, których się dziś nie grywa, Szekspir w komediach, Molier, Fredro, Gogol. Tak kręcili filmy ci, których kunszt gagu zatyka po dziś: Buster Keaton, Chaplin, Laurel i Hardy, Jacques Tati. I tak grała na polskich scenach niepowtarzalna plejada aktorów, łączących zawodowy warsztat z Himalajami inwencji. Gołas, Kobuszewski, Krafftówna, Michnikowski, Pokora, Czechowicz, Dziewoński, Fedorowicz, Dobrowolski, cały Kabaret Starszych Panów, cały Dudek. A to i tak tylko urywek, niegrzeczny wobec pominiętych.

Irena Kwiatkowska byłaby tu na pierwszym miejscu. Bo była perfekcyjnie przygotowana do prób, przerabiała słowa i sytuacje tak, by były najskuteczniejsze, wyklócała się z autorami i reżyserami, ustawiała partnerów. W zeszłym roku Znak wydał jej monografię *Żarty się skończyły*. Autor, Marcin Wilk zajął się sylwetką psychologiczną bohaterki od nieprawdopodobnego w ścisłości samokontroli pamiętnika z lat pensjonarskich, po dewocję w starości. Dokonania sceniczne kwitował wykrętami w rodzaju „przeżywa wyjątkowo aktywny okres zawodowy”, „nie próżnuje” *etc.* Ale widział w domowym archiwum teczek z tekstami ról, gdzie *niemal wszędzie widnieją dopiski i skreślenia. Jeśli nie znikają całe słowa, zdania i fragmenty (a znikają po to, by mogły się pojawić nowe słowa, zdania i fragmenty), to nanoszone są różnego rodzaju kreseczki i linie. Jedna kreseczka pochyła będzie akcentem przed wyrazem, inna – pochyła w drugą stronę – oznacza spadek intonacji.*

Chciałbym zobaczyć egzemplarz roli Lily – Alicji z tamtego, telewizyjnego przedstawienia. Musiał być partyturą. Kodem dla wirtuoza.

◆ Poszedłem do Och-Teatru na „odmrożoną” Lily, jeszcze raz porównać wersje Popplewella i Thomasa (różnic było więcej, niż pamiętałem, ale szkielet bez wątpienia ten sam). Dziwnie było. Z publicznością nieswoją, zmieszaną maśeczkowym obowiązkiem (w bufecie, który zajmuje tu całe foyer, nie trzeba ich nosić, na sali trzeba, chyba bez sensu), z widownią podziurawioną pustymi krzesłami jak szwajcarski ser. Zabawa nie była żywiołowa. Ale finałowe oklaski już tak. Krystyna Janda dziękowała za przybycie, przepraszając, że we wznowionym po trzech miesiącach spektaklu mylili im się mordercy. No tak, aktorzy pływali po tekście niczym po wodach mętnych i nieprzebytych.

Rzeczy do śmiechu w Polonii i w Ochu, zwłaszcza przyprawione przez szefową, są na antypodach tej fascynacji kunsztem komediowym, z której przed chwilą próbowałem się spowiadać. Nie ma w nich precyzji, wirtuozerii i harmonii, jest zgiełk, biegania, sztuczna wesołość, czasami dość grube numery. Kwiatkowska by się w tym nie odnalazła. Ktoś powie: czasy się zmieniły, poczucie humoru też. No, nie wiem, wystarczy poczytać wpisy wniebowziętych pod takimi perełkami, jak *Alicja prowadzi śledztwo*, iżby mniemać, że jakiś fanklubik by się jednak zebrał.

Aliści nie składam tu hołdu wirtuozom komedii po to, żeby atakować Jandę. Gdy trzeba, sama potrafi być wirtuozką, *vide Zapiski z wygnania*. A przede wszystkim jej teatr nie potrzebuje specjalnych proklamacji, by to, czego brakowało mi w procesie otwierania się scen, było oczywiste. Tak, widz może traktować ten adres jak gabinet odnowy psychicznej po pandemicznym areszcie. Jak miejsce odreagowania złego czasu, który przecież nie minął. Odreagowania nie tylko śmiechem; repertuar teatru Jandy to szerokie spektrum od pocziwych komedii po klasyczną awangardę (oswojoną) i od czystego eskapizmu po polityczno-społeczne interwencje. Widzowi się tu nie schlebia (no, może trochę, czasami), nie poucza. No i się nim nie potrząsa, nie stawia do pionu, nie wyrywa na siłę z kokonu bezpieczeństwa.

Rzecz jasna funkcje teatru nie mogą się do tego ograniczać, dostalibyśmy kota z nudów. Ale przeczuwam, że ci, co nie docenią siły więzi, jaką Krystyna Janda wypracowała ze swoją publicznością, mogą mieć zasadnicze trudności przy wychodzeniu z wirusowego potrzasku.

**Jacek Sieradzki**